

Kulturowa schizma Zachodu

Współczesny świat Zachodu znalazł się w sytuacji najpoważniejszego kryzysu od czasów II wojny światowej. Główną osią podziałów nie są jednak nierówności społeczne czy ekonomiczne, lecz kultura i geopolityka. Czy konflikt ten nada zachodniej cywilizacji nową postać, czy doprowadzi raczej do jej zniszczenia? – zastanawia się prof. Marek A. Cichocki na łamach „Plus Minus” [<http://www.rp.pl/Plus-Minus/306159958-Marek-Cichocki-Kulturowa-schizma-Zachodu-Jak-dziela-nas-nerownosci-kultura-i-polityka.html#ap-1>]



Współczesny świat Zachodu znalazł się w sytuacji najpoważniejszego kryzysu od czasów II wojny światowej. Główną osią podziałów nie są jednak nierówności społeczne czy ekonomiczne, lecz kultura i

geopolityka. Czy konflikt ten nada zachodniej cywilizacji nową postać, czy doprowadzi raczej do jej zniszczenia? – zastanawia się prof. Marek A. Cichocki na łamach „Plus Minus”

Wystarczyło spektakularne zwycięstwo Emmanuela Macrona z Marine Le Pen w wyborach prezydenckich we Francji, do tego bolesna porażka Theresy May z Jeremym Corbynem w wyborach parlamentarnych i dla osłody jeszcze poważne problemy Donalda Trumpa z powodu zeznań byłego szefa FBI Jamesa Comey'a, aby niebo nad Europą zaczęło się nagle rozpodadzać. Brakuje jeszcze tylko zwycięstwa Angeli Merkel, na które wszyscy czekają we wrześniu, by w większości europejskich stolic niedawne lęki graniczące z histerią, spowodowane Brexitem, porażką Hillary Clinton i coraz silniejszą pozycją tak zwanych partii populistycznych w zachodnich społeczeństwach, we Włoszech, w Austrii, we Francji czy w Holandii, całkiem się rozwiały, jak ciężki, koszmarny sen. Ta zmienność nastrojów pokazuje, w jak wielkim emocjonalnym rozchwianiu znalazł się współczesny Zachód.

Kasandryczne wizje

Zachodni liberalizm, ten, który zwyciężył pod koniec XX wieku komunizm i który z sukcesem zbudował cały pozimnowojenny porządek w Europie i na świecie, nadając także nowe kierunki rozwoju w naszej części środkowej Europy, w 2016 roku wpadł w całkowicie apokaliptyczny nastrój. Najgorsze historyczne analogie i wizje zyskały nagle status niezachwianych dogmatów na temat przyszłości Europy, która za sprawą populizmu miała pogrążyć się na nowo w nacjonalizmie, wojnie, tyranii czy wręcz w jakiejś nowej formie totalitaryzmu. Wybitni intelektualiści i stojący na czele rządów politycy

całkiem na poważnie przybrali kostium Kasandry, wieszcząc powrót najstraszliwszych katastrof z 1914 i 1933 roku. Skąd jednak brał się ten katastrofizm w przypadku liberalizmu, który jeszcze niedawno cieszył się niezachwianą pozycją jedyne go bohatera współczesnej historii Europy, ba, całego współczesnego globalnego świata, i przyciągał ludzi przekonanych o tym, że ludzkość, przynajmniej ta, która zaludnia świat Zachodu, może zmierzać wyłącznie w jednym, słusznym, wyznaczonym przez liberalizm kierunku?

Psychologicznie może to być wytłumaczalne. Jeśli ktoś wierzył, za Fukuyamą, że historia świata naprawdę zmierza do określonego przez zachodni liberalizm końca, że przeszkody na tej drodze mogą rzucać jedynie nieliberalne i egzotyczne tyranie, takie jak Chiny czy Rosja, lub nie do końca jeszcze „oświecone” społeczeństwa na peryferiach Zachodu, jak na Węgrzech czy w Polsce, to tak otwarte zanegowanie liberalnych wartości przez znaczną część zachodnich wyborców przedstawiało się w 2016 roku jak niespodziewany i przerażający wybuch dzumy w samym środku tętniącego życiem, nowoczesnego miasta. Ta, jak ją nazwano, populistyczna rewolta zagroziła nagle upadkiem liberalnych rządów i liberalnych zasad w kolejnych zachodnich państwach, co musiałoby doprowadzić do destrukcji całego pozimnowojennego porządku i do geopolitycznej katastrofy. Panujący jeszcze rok temu nastrój zbliżającej się apokalipsy Zachodu był więc z tej perspektywy zupełnie zrozumiały.

Racjonalny rynek

Istotna dla owego poczucia zagrożenia, a nawet klęski, była na pewno utrata wiary w podstawowe prawdy, bez których liberalna wizja świata nie mogła funkcjonować w roli jedynej możliwej recepty rozwoju zachodnich społeczeństw. Nie były to już wszakże owe staroświeckie reguły, w które w XIX wieku wierzyli dawni, tradycyjni liberałowie, takie jak wolna debata czy ucieranie się racji poprzez dyskusję. Przede wszystkim chodziło o niewzruszoną wiarę w racjonalność rynku i finansów, która miała przynosić same dobre rozwiązania. Na tej wierze budowano i legitymizowano całe polityczne strategie i programy, na niej opierano stabilność porządków społecznych. Istniały oczywiście możliwości korekty, można było iść bardziej na lewo, w stronę pewnych rozwiązań socjalnych, albo na prawo, głosząc konieczność deregulacji i niskich podatków. Zasadniczo jednak racjonalność gospodarki rynkowej stanowiła fundament liberalnego, współczesnego świata. I tutaj właśnie kryzys finansowy w bezwzględny sposób obnażył iluzję racjonalności rynków. Jeśli były tak racjonalne, to dlaczego doszło do kryzysu finansowego na tak ogromną skalę? Dlaczego nikt nie powstrzymał go w porę?

Co gorsza, kryzys finansowy podkopał wiarę w podstawową obietnicę pozimnowojennego świata Zachodu, na której budowano także transformację Europy Środkowej po 1989 roku – wiarę, że rynek i wolny handel zbudowane są w sposób optymalny, zapewniający niekończący się wzrost gospodarczy, a w konsekwencji dobrobyt społeczeństw. Dzięki temu każde kolejne pokolenie miało żyć lepiej od swoich rodziców, co dawało niezachwianą gwarancję społecznej stabilności światu Zachodu. Z tej perspektywy antyliberalna rewolta zwolenników Brexitu czy Trumpa jawiła się przede wszystkim jako zemsta tych wszystkich, którzy zostali pokrzywdzeni przez kryzys finansowy i turbokapitalizm.

Czy jednak to ekonomiczne wyjaśnienie wystarczy, by zrozumieć obecny kryzys? Jeśli chodziłoby tylko o ekonomicznie pokrzywdzonych, to cały problem można byłoby rozwiązać, po prostu tworząc nowe miejsca pracy i przywracając ponownie wzrost gospodarczy. Jednak apokaliptyczny ton liberałów przerażonych falą „populizmu” zalewającą w 2016 roku Zachód miał znacznie poważniejsze przyczyny niż rynek. Oczywiście ekonomiczny nacjonalizm Trumpa czy May był straszliwą herezją w uszach zwolenników światowego wolnego handlu, ale tak naprawdę podstawową linią konfliktu nie jest w obecnym kryzysie Zachodu ekonomia, lecz jest nią przede wszystkim kultura.

Krytyka transformacji

Aby oddać istotę obecnego konfliktu, można więc strawestować słynne wyborcze hasło Billa Clintona z lat 90. i napisać po prostu: Kultura, głupcze! Od lat 60. XX wieku zachodni liberalizm konsekwentnie przyjmował za swoje kolejne postępowe wartości lewicy, takie jak uniwersalne prawa człowieka, zwalczanie religii i tradycji jako obskurantyzmu, prymat społeczeństwa obywatelskiego, przede wszystkim jednak wielokulturowość jako wyznacznik dobrego liberalnego społeczeństwa, a co za tym idzie, zdecydowane pierwszeństwo praw mniejszości nad prawami większości.

Począwszy od lat 90., właściwie nie ma już na Zachodzie innego liberalizmu niż liberalizm kulturowo progresywny, oparty na kulturze wielu zróżnicowanych tożsamości, gdzie przynależność do jednej dominującej wspólnoty, czy definiowanej narodowo, czy republikańsko, staje się grzechem kardynalnym. Staje się w ten sposób nie tylko

poglądem na ekonomię czy handel, ale przede wszystkim rzecznikiem nowego, dominującego projektu kulturowego o skali globalnej, który ma powstać na gruzach starych narodowych tożsamości. Jedno zresztą wiąże się ściśle z drugim, bo nowa, otwarta, kosmopolityczna kultura ma przecież wynikać z otwartości rynków i handlu oraz je wspomagać. Tradycyjne, narodowe tożsamości mogą być tutaj tylko przeszkodą i chociaż historia zdecydowała już przecież o tym, że ich kres we współczesnym świecie musi niechybnie nadejść, to należy poddać je stałej presji i kontroli, aby przypadkiem nie odzyskały niebezpiecznego wigoru.

Z tej perspektywy Brexit i Trump, z hasłami przywrócenia suwerenności, wrogością wobec migrantów, przywracaniem granic, odrzuceniem idei wielokulturowości społecznej, zakwestionowaniem absolutnego prymatu praw człowieka, musiał wydawać się niezrozumiałą i przerażającą próbą odwrócenia dotychczasowego biegu historii, a co za tym idzie, utraty kontroli i władzy nad zachodzącymi procesami. Dla zachodnich progresywnych liberałów krytyka liberalnej transformacji w wydaniu polskiej prawicy czy odrzucenie liberalnej demokracji w wydaniu Orbana mogła być jeszcze jedynie regionalną anomalią, ale w przypadku Londynu czy Waszyngtonu sprawa wyglądała naprawdę poważnie, bo okazywało się, że podstawowe zasady progresywnej, liberalnej kultury zostały zakwestionowane przez amerykańskich i brytyjskich wyborców, a więc obywateli krajów uważanych za samo centrum liberalnego, postępowego Zachodu.

Przeprowadzone w 2017 roku na zlecenie magazynu „The Atlantic” badania dotyczące głównych motywów głosowania Amerykanów na Trumpa potwierdzały jedynie to, co już wcześniej Ronald Inglehart, jeden z twórców słynnego projektu Światowego Badania Wartości, ale

także wielu innych naukowców próbowało opisać jako nieunikniony rewanż narodowych kulturowych tożsamości na kosmopolitycznym liberalizmie politycznych i biznesowych elit decydentów. Demokracja pod postacią wyborów czy referendum okazała się w tym rewanżu skuteczną bronią, pozwalającą popularnym ruchom sprzeciwu zasygnalizować ich najważniejsze przesłanie: że to nie „oni”, czyli elity, tutaj rządzą, że to nie od „nich” zależni są wyborcy, ale „oni” zależą od wyborców, którzy sami będą decydować, w jaki sposób chcą żyć. Taki był sens głównego hasła, odzyskania własnego kraju przez większość obywateli.

Badania „The Atlantic” pokazały także, że głównym motywem wyborczym zwolenników Trumpa nie była wcale ich sytuacja ekonomiczna, ale kultura, tożsamość tej, jak się w wyborach okazało, ogromnej części Amerykanów, którzy uznali, że za sprawą progresywnego liberalizmu i faworyzowania najróżniejszych subtożsamości przestają się czuć we własnym kraju jak u siebie. Bardzo podobne motywy kulturowe kierowały także w czerwcu 2016 roku zwolennikami Brexitu, a także napędzały ideologicznie antyestablishmentowe partie we Francji, w Holandii czy we Włoszech.

Światopoglądowe różnice

W przypadku Polski czy Węgier sprawa jest bardziej złożona. Orban czy Kaczyński, często wrzucani do jednego worka z zachodnimi populistami, takimi jak Le Pen czy Wilders, przede wszystkim koncentrowali się na koniecznej korekcie skutków liberalnej

transformacji w regionie Europy Środkowej. Dość przypomnieć nośne hasło Prawa i Sprawiedliwości z 2005 roku o przeciwstawieniu społecznych wartości solidarności „bezdusznemu” liberalizmowi.

Jednak krytyka transformacji nigdy nie ograniczała się przecież do kwestii związanych z niesprawiedliwą redystrybucją dóbr oraz praw. Zawsze miała bardziej lub mniej widoczny podtekst kulturowy. Widać to doskonale na przykładzie popularnej wśród polskiej prawicy koncepcji postkolonializmu. Jest ona dość mocno osadzona w polskim historycznym doświadczeniu, przede wszystkim XIX-wiecznym doświadczeniu rozbiorów, kiedy Polska faktycznie stała się przedmiotem wewnętrznego, europejskiego kolonializmu kierowanego z Petersburga, Berlina i Wiednia.

Niemniej prawicowa teoria postkolonialna równie mocno nawiązuje do pewnych postmarksistowskich założeń, obecnych na przykład w koncepcjach współczesnego zachodniego ładu Immanuela Wallersteina. Zgodnie z tym przekonaniem społeczeństwa istnieją w pewnym układzie sił, w których jedni dominują i wyzyskują innych. Dokładnie taka logika hegemonii i wyzysku ma charakteryzować liberalną transformację po 1989 roku, której głównym celem miało być utrzymanie Europy Środkowej w pozycji trwałych peryferii.

Było więc tylko kwestią czasu, kiedy główny nurt krytyki progresywnego liberalizmu ze strony antyestablishmentowych partii w społeczeństwach zachodnich spotka się z krytyką liberalnej transformacji w Europie Środkowej na wspólnym kulturowym gruncie. Przełomowy pod tym względem okazał się rok 2016, a kwestią, która wyznaczyła wspólne pole dla kontestacji liberalnego ładu, niezależnie

od tego, z której części Europy, czy z pozycji rozwiniętych zachodnich społeczeństw czy doganiającej je Europy Środkowej, stała się reakcja na kryzys migracyjny i związany z nim problem wielokulturowości.

Samuel Huntington zdobył kiedyś wielką popularność, forsując tezę, że XXI wiek nie będzie wcale epoką liberalnej syntezy, w której ucichną wszystkie ideologiczne konflikty, wstrząsające dotąd historią ludzkości. Jego zdaniem obecny wiek ma być wiekiem wielkich sporów, konfliktów odmiennych cywilizacji, u podstaw których leżą niedające się pogodzić różne wartości. Huntington uważał jednak, że konflikty te będą miały miejsce między Zachodem oraz innymi cywilizacjami, na przykład islamem czy prawosławiem. Nie zakładał, że sam Zachód stanie się polem wewnętrznego, ideologicznego konfliktu, z którym mamy dzisiaj już do czynienia, a którego pierwszymi poważnymi objawami jest prezydentura Trumpa czy Brexit oraz reakcja na nie we Francji czy w Niemczech. Istoty tego konfliktu nie rozumiemy, posługując się topornym pojęciem populizmu. Zresztą nigdy jego funkcją nie była pomoc w diagnozie, lecz raczej dostarczenie polemicznej amunicji pozwalającej progresywnym liberałom w dogodny sposób stygmatyzować swoich przeciwników i krytyków.

Zachód wchodzi dzisiaj w fazę, w której świat kosmopolitycznych, postępowych liberalnych wartości zostaje po raz pierwszy być może od kilkudziesięciu lat tak dotkliwie zaatakowany przez konserwatywną kontrrewolucję, która wykorzystując mechanizm demokratycznych wyborów i referendum, chce przywrócić w polityce nadrzędne znaczenie tradycyjnej, kulturowej tożsamości społeczeństw. U podłoża tego konfliktu leży zasadnicza różnica w sposobie postrzegania życia ludzkich społeczeństw oraz dróg ich dalszego rozwoju – a więc jest to konflikt światopoglądowy.

Dla konserwatystów podstawą rozwoju współczesnych społeczeństw musi pozostać kultura – ich społeczna i kulturowa tożsamość, która narzuca rządzącym konieczne ramy i ograniczenia dla ich decyzji, dostarczając społeczeństwu właściwych oraz akceptowalnych bodźców, norm i celów. Dla liberałów jest dokładnie odwrotnie. W ich progresywnym świecie postęp jest możliwy tylko wtedy, kiedy to postpolityka, a więc grupy interesów, eksperci, urzędnicy, sędziowie, merytokracja, a więc ci, którzy mogą być uważani za kulturowo neutralnych, powinna w odpowiedni dla wyższych celów sposób kształtować, zmieniać, „optymalizować” kulturę jako źródło tożsamości, norm i celów, posługując się przede wszystkim prawem oraz instytucjami. Sama tożsamość kulturowa społeczeństw jawi się tutaj raczej jako obciążenie i jest obarczana ryzykiem, bo czyni ludzi mniej optymalnymi, racjonalnymi czy ekonomicznymi i generalnie mniej przewidywalnymi.

Ten konflikt między konserwatywną kontrrewolucją i progresywnym liberalizmem tylko z pozoru jest zagadnieniem teoretycznym. W istocie chodzi w nim o to, kto będzie miał nad kim władzę, czyli kto będzie kim rządził. Stawką zaś jest to, czy tradycyjna, kulturowa tożsamość społeczeństw Zachodu pozostanie niezależnym od postpolityki źródłem obowiązujących norm, zasad i celów, wyznaczających drogi przyszłego rozwoju. Zachód stanął więc na rozdrożu, ale jest to rozdroże kultur, przy czym potencjalne rozstrzygnięcia będą miały dla nas wszystkich daleko idące geopolityczne konsekwencje. Czy dojdzie do kulturowej schizmy Zachodu czy może jednak jakiejś nowej jego syntezy, która wykraczać będzie poza horyzont wyobraźni zarówno współczesnych progresywnych liberałów, jak i kontrrewolucyjnych konserwatystów? Być może zresztą wydarzenia ostatnich dwóch lat, Brexit, Trump, Macron, nie przyniosą wcale żadnego rozwiązania w tym

zakresie, jedynie poza utrwaleniem się jako nowego zjawiska antyliberalnego i liberalnego populizmu w polityce. Być może jest to jednak pierwszy etap ideologicznego konfliktu, który rozpędza się w samym środku zachodniego świata.

Prof. Marek A. Cichocki

Artykuł ukazał się w Plus Minus nr 24/2017